

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

ŚRODA 4 LUTEGO. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — 1835.

SZALIK.

(Dokończenie.)

V.

Dom wiejski, w którym mieszkała Maryja, leżał niedaleko od miasteczka***; tam zostawiłem mój powóz. Poszedłem pieszo do najbliższej wioski, w której obrałem sobie mieszkanie. Słońce już zapadło za widokrag, gdy oddalił się od wieśniaczej strzechy, która miała mi służyć za schronienie, tak blisko Maryi. Wszedłszy samotną ścieżką na wierzchołek pagórka, postrzegłem jej mieszkanie. Był to bardzo skromny domek: na przodzie wystawa pełna drzew pomarańczowych i kwiatów, tuż obok gaik zielony i kilka cyprysów. Ona jest tam — rzekłem sam do siebie — tam, o kilka kroków ode mnie, a zapewne zdala od tych miejsc ściga mnie myśl. Tam, tak blisko, a jednak rozdzieleni na zawsze. Tam, sama, z zawiedzioną nadzieją, z sercem ręką moją zakrwawionem; sama, w smutnem milczeniu rozdzielających pamiętek. Głos mój mógłby ułagodzić jej cierpienia, a jednak usłyszeć go nie może, nie usłyszy nigdy. Obcy wszystkiemu; co mię otacza, zastukałbym do tych drzwi, a nie domyśliłaby się ręki, która stuka, i przyjęłoby mnie jak cudzoziemca, jak nieznajomego; który pyta o drogę i idzie dalej.

Gdy noc nadeszła, poszedłem do gaju cyprysowego. Postrzegłem, że pokoje, które się zdawały być zamieszkałe, wychodziły na wystawę, od strony południowej. Wszystko już w głębokiem pograżone było milczeniu; było to już siedlisko pokoju i wiecznego spoczynku. Wróciłem smutnie do chaty.

Nazajutrz nie było słońca. Wieczorem, lampa, która zdawała mi się tak ustawioną, aby nie raziła osłabionych oczu, oświecała za ledwie pokój; zgasła. Księżyc wynurzył się w całym blasku z za obłoku. Okno się otworzyło; ukazał się cień biały; nagle dał się słyszeć z głębi pokoju głos surowy, jak gdyby naganiający nieroztropność; zamknęło się okno i wszystko zniknęło.

Następnego dnia słońce wstało w całym blasku. Jak najraniej byłem w gaju. Około południa, to słońce prowaukie, słońce kwietniowe, zaczęło mocno dogrzewać. Służący wyszedł z pokoju, miasąc krzesło z poręczami, i postawił je tuż przy klombie róż i rezedy. Serce biło mi gwałtownie. Potem tenże sam służący przyniósł taborecik pod nogi i postawił go przed krzesłem, nakomic mały stoliczek. Wówczas mężczyzna, który mi się zdawał być Hrabia G***, ukazał się w progu; młoda kobieta opierała się z trudnością na jego ramieniu. Była to Maryja! suknią miała białą; biedna Maryja!... szalik błękitny spływał po jej ramionach; nosiła go jeszcze; nie rzuciła zdala od siebie tego nieszczęsnego szalika, okrutną moją ręką rozdartego.

Z trudnością usiadła na krześle. Niestety! ja sam tylko mogłem ją poznać; zmieniła się bardzo, lecz była może jeszcze piękniejsza; piękność jej przybrała wyraz omdlewający, którego smutnego uroku wydać nie podobna. Anielska jej dusza, łagodna, czysta, jaśniała jeszcze na jej obliczu. Nie była to bladeść; było to więcej jak cierpienie; było to coś, co rozdzierało serce; była to twarz, powabna zawsze, lecz której ożywić nie zdoła żadna radość, żadna ziemską na-

dzieja. Słodki tylko jej uśmiech nie zmienił się; poznałem go, gdy dziękowała mężowi za wsparcie, którego jej użyczył; lecz gdy ten wrócił do pokoju, zgasł uśmiech na jej ustach: był-to tylko przykry przymus.

Długo siedziała nieporuszona, z głową nieco pochyloną, dumając, zupełnie w myślach zatopiona. Potem nagle rzuciła na około siebie spojrzenie, jak gdyby chciała się zapewnić, że jest sama. — Wtedy wyjęła z szuflki książkę... był-to zbiór moich wierszy; nie czytała, lecz przewracała karty; przez kilka chwil była rozrzuconą, lecz z wolna żywe wspomnienia zdawały się całą zwracać jej uwagę. Tak dobrze znałem tę książkę i kartki ręką moją pisane! Ściągałem oczyma każde nowe uczucie, które powstało w jej sercu; rozpoznawałem, czytać mogłem, że tak powiem, każdą kartę, każdą myśl, we zwierciadle jej ruchomych rysów.

Zamknęła książkę i położyła ją na stole; zdawała się być znużoną, oparła czoło na ręce. Jednak po chwili spoczynku otworzyła małą szkatułkę, wyjęła z niej jedwab i wszystko, co potrzebnem było do roboty; wówczas położyła szalik na kolanach. Był-to ten sam szalik niebieski, tylko nieco spłowiały, bladejszy, zresztą prawie taki, jakim go ujrzał pierwszego dnia; obie części rozdarte były do siebie zbliżone i spojone starannie, pozostawało jednak coś ukończyć. Biedna Maryja! to było całe jej zatrudnienie. Przerzywała chwilami robotę, przyciskała szalik do ust, uśmiechała się, potem obcierała oczy, i zdawała się sama z sobą rozmawiać. Rozczulenie widzieć mi więcej nie dozwoliło; nic nie słyszałem, .. lecz czułem, że łzy jej płynęły.

Już chciałem ku niej poskoczyć, gdy łoskot dał się słyszyć w pokoju. Maryja zadrzała. Schowała natychmiast książkę, zamknęła szkatułkę, Hrabia wyszedł: widok jego najstraszliwsze obudził we mnie uczucie; nie mogłem sobie wyobrazić inaczej tego człowieka, jak o dwadzieścia kroków ode mnie z pistoletem w ręku. Twarz Maryi przybrała niewysłowiony wyraz, który ja sam tylko zrozumieć mogłem; naprzód przestraszył i przymus, potem rozpaczne podanie się.

Nazajutrz niebo było pochmurne, powietrze zimne; nie otworzono okien.

Na trzeci dzień wiatr rozpędził chmury; był-to kwietniowy poranek w całym blasku.

Nakoniec drzwi, wychodzące na wystawę, otworzyły się. Maryja wyszła. Jej suknia, włosy starannie ułożone, szalik, wszystko przypominało mi dzień, w którym pierwszy raz ją ujrzałem.

Hrabia usiadł i kilka chwil z nią pogadał; miał bóty z ostrogami i szpicrutę w ręku; niezadługo wstał i pożegnał się.

— Dawno już nie wyglądałaś tak dobrze — rzekł; — wrócę dziś wieczorem, albo jutro rano najdalej. — Maryja przesłała mu ręką pożegnanie. Wkrótce usłyszałem konie galopujące po alei.

Maryja kazała sobie przynieść wazon do kwiatów, album i szkatułkę. Ogrodnik podał jej bukiet najpiękniejszych kwiatów. Maryja odprawiła go i zaczęła kwiaty układać w wazonie; zdawało się, iż chce się otoczyć świątecznym pozorem, że ten dzień nie powinien upłynąć jak wszystkie inne. Nagle przypomniałem sobie, że to było ósmego kwietnia; była-to rocznica balu, pierwszego naszego widzenia. Rok dopiero upłynął; co-za wspomnienie! Oto jest! owa piękność szczęśliwa, świetna świeżością i wdzięki; i ja tu stoje, ja także! i to moje dzieło! moja zbrodnia!

Biedną Maryja! Był-to ósmy kwiecień, jej święto, którego nikt z otaczających ją zrozumieć nie mógł. Chciała zapomnieć o obecności i żyć jeszcze chwil kilka sama ze swojemi pamiątkami, w tej przeszłości tak lubej, która łudziła nas urokiem słodkiego zaufania, i nieprzewidującej miłości. — O Maryjo! a dla mnie, sprawcy tych wszystkich cierpień, ani jedna myśl goryczy nie powstała w twojej duszy!

Długo przyglądała się widokowi jeziora, który odrysowałem w jej album; oczy jej zaćmiły się łzami. Potem wyjęła ze szkatułki wszystkie swoje skarby. Rozłożyła przed sobą moją książkę. Gdy ją przewracała, wiatr porwał ulotną kartę i zaniósł ją krzak róży. Schyliła się, ażeby ją podnieść, i szalik zaczęł się o kolce. Maryja zbłądła. Nie śmiała zrazu odczepić szalika. Gdy go starannie obejrzała, radośny uśmiech ożywił jej zbladłe usta, i wznosząc ku niemu spojrzenie szczęściem jaśniejące, zawołała:

— Nie rozdarł się... kocha mię jeszcze... mogę umrzeć...

Złożyła ręce i padła na kolana na taboret przed nią stojący. Usłyszałem te przerywane wyrazy;

— O Boże! wybac mi! oświeć mię!... Wszystkom uczyniła, aby bydz posłuszną, wszystko mogę poświęcić, jeżeli tego będzie potrzeba... szczęście... wszystko... życie... nigdy łez moich nie zobaczą... niczego się nie dowiedzą... wypełnię mój obowiązek. Ale przestać go kochać... nie, nie... Panie! ty tego nie wymagasz!.. niechaj nigdy nie wie, ile mi zrobił złego... niechaj o mnie zapomni! Lecz nie, jeszcze nie taraz, jak umrę... Więc mię kochać nie przestał!... Ach! zobaczyć go... raz jeszcze głos jego usłyszyć... raz ostatni...

Nie mogłem się wstrzymać dłużej; poskoczyłem ku niej. Na pierwszy łoskot powstała z niespodziewaną siłą... padła....

Zemdlała. Zniosłem ją do pokoju, położyłem na niskiej sofie i ukląkłem przy niej. Zaczynała przychodzić do siebie; otworzyła i zamknęła kilkakrotnie oczy; zdawało się, że śpi snem słodkim. Niemogłem pójsć zawołać o pomoc, gdyż za najmniejszym mojem poruszeniem zdawała się budzić, lękać, cierpieć, i bardziej przyciągała mnie ku sobie... Nagle twarz jej zajaśniała jakby nowem życiem; słodkie wyrazy miłości błąkały się po jej ustach, ożywionych spokojnym uśmiechem; oparła głowę na mojem ramieniu i usłyszałem westchnienie.

Długo pozostałem klęczący, nie śmiejąc najmniejszego uczynić poruszenia. Rozumiałem, a nie chciałem rozumieć; widziałem, a nie chciałem widzieć. Zbyt wielkim był ogrom tej boleści, był w niej zbyt wielki rozpacz, zbyt przerażająca rzeczywistość, abym mógł jej uwierzyć!... może to był sen... nie chciałem się przebudzić; był-to sen luby... Lecz rzeczywistość!... jakże ją zniosę... bo ja zawsze byłem okrutnym, zabójcą; ja sprawcą jej pierwszego i ostatniego nieszczęścia. Nieporuszony, szlochałem tylko, rozpacznie zionąc skargi, których słyszyć już nie mogła... Nakoniec lekki szelest w pobliskim pokoju wrócił mi przytomność... Musiałem się wydrzeć z tych rąk, które mię już nie zatrzymywały; i zarzuciwszy szalik jak zasłonę na jej oblicze, wybiegłem spieszenie zamknąć się w mojej samotni. O! nie idźcie za mną.

Nazajutrz słyszałem, jak mówiono, że Hrabina G* umarła.

Noc nadeszła; była posepna. Jedno tylko okno, wychodzące na wystawę, pozostało otwarte; mogłem się śmiało zbliżyć w ciemności. Gromnica, postawio-

na na małym ołtarzu na przedczrobionym, oświecała jedynie pokój. Jakaś kobieta czuwała i modliła się przy śmiertelnem łożu. Chciałem się także modlić, lecz nie mogłem. Czekałem długo, nareszcie pilnująca kobieta wyszła. Uzbroidem się odwagą.. Potrzebowałem widzieć ją raz jeszcze... Pożegnać raz ostatni... pozyskać szalik!....

Oto jest ten szalik! ten sam, tylko spłowiały, tylko przez czas wybielony; oto leży przede mną! A Maryja od dawna już nie żyje; ta istota, tak luba, tak powabna, pełna duszy, uczucia, miłości, zniknęła na zawsze! Ja tylko znałem Maryję, Przeszła, mignęła śród ludzi, niepoznana, jak nasza miłość.

A jednak dotąd żyć mogłem. W pierwszych chwilach rozpaczy chciałem nieraz pozbyć się życia, jak tyłu innych czyni. Lecz Maryja zaszczerpiła zaród ślachetniejszych uczuć w mojem sercu: żyć, zdawało mi się godniej uczeić jej pamięć.

Nie spodziewając się niczego od ludzi, wołałem stać się im pożytecznym, niżeli nim pogardzać.

Maryja zdawała się wspierać moje usiłowania. Wykonałem małą cząstkę dobrego, któreśmy razem układali.

Lecz szalik nigdy mię nie opuszcza, każdej chwili wznawia pamięć przeszłości. Był tajemniczym węzłem naszego życia, przyczyną tyłu cierpień Maryi, chwilowajej radością i całunem jej śmiertelnego łoża. Gdy ja także kiedyś czekać przestanę... gdy nakoniec głos pocieszający powie mi: pójdź, pójdź, nadeszła godzina!... chcę, ażeby także twarz moja osłonił... chcę go czuć na moich ustach... chcę, aby przyjął ostatnie moje tchnienie.

DOROTKA.

I.

Natwardym głazie, gdzie Prądnik płynie,
Piotra gród wychyla czóło;
Wkoło opoki, a w nich jaskinie
I jary ciemne w około.

Jedna z nich leży w wnętrzu dziełnicy,
Dotąd jej zgłębić nie mogą;
A lud, co mieszka w tej okolicy,
Jaskinią wspomina z trwogą.

Śledząc przyczyny w kolejach wieku,
Za węzeł prawdy chwytałem,
Nareszcie, błędząc wśród haśni steku,
Taką powiastkę związałem:

2.

Pewności nie masz, ale przed laty
Żyła tu można rodzina;
Piękne jej włości, pyszne komnaty,
Dziedziczyć miała dziewczyna.

Dziewczyna, włości bogactw godna
Nadzieja ojca i domu,
Młoda jak wiosna, jak kwiat dorodna,
Niezaręczona nikomu.

Możny właścicieli Piaskowej skały,
A Dorotki rodzic stary,
Jak gdyby o jej przyszłość niedbały,
Odrzucił wszystkich ofiary.

Ale dziewczyna dumną nie była,
Nie miała serca ze stali;
Dawno w jej duszy miłość utkwiła,
A iskra miłości pali.

Kiedy cień padał z zamkowej wieży,
Spuszczono czujne brytany,
Wtenczas Dorotka, w prostej odzieży,
Szła tam, gdzie czekał kochany.

Często ją chłodny powitał ranek,
Nim uszła z jego objęcia;
Lecz tylko Giermkim Dosi kochanek,
Przyjmieź go ojciec za zięcia?

3.

Omamień chwile, jako mgły cienie,
Rzednieją, gdy słońce wschodzi;
Tak po suach błogich ciężkie cierpienie
W dziewczycy sercu się rodzi.

Próżno kochanek wiarę przysięga,
Lbłogą przyszłością poi:
Bo koleś trosków głęboko sięga,
Kocha go, — ojca się boi.

A wtem z daleka przybyli swaty,
Przywiedli rzędy i konie,
Przyjął ich ojciec, zawiódł w komnaty,
Rodają przyjazne dźwięki.

Poszedł do córki i wkrótce wrócił,
Riekł się iskrzyło oko:
Zionąc przekleństwa, w krzesło się rzucił,
Rodparł się — dumął głęboko.

Każę przywołać Giermką zbudzoną,
Lecz młodzian zniknął od chwili;
Różno wysłano na wszystkie strony,
Bez wieści o nim wrócili.

A kiedy grodu wieżyce cienie
Oblekły w całuny szare;
Na ciężkie męki, wieczne cierpienie,
Dziewczę wtrącono w pieczarę.

4.

Ciekły godziny w mękach dziewczynie,
Już iza jej lica nie skrapia;
Niebaczny ojciec, swą pamięć w winie
Z czarną zgryzotą zatapia.

Aż tu wieść gruchła, że ciągną chmury
Tatarów nieprzeliczone;
Każy się chroni w obronne mury,
Ten wieździe dzieci, ten żonę.

Tymczasem wsiedli zbrojni na konie,
Pognali świadomą knieją;
Pod słońce błyszczą gładkie ich bronie,
A coraz dalej blednieją.

Otóż wracają! — a na ich czele
Rycerz wraz z wiatrem wwał spieszny;
Spuszczono mosty: to przyjaciele;
Pan się z ich sprawunku cieszy.

Przybywa coraz więcej rycerzy,
Rżą konie i wzrasta wrzawa;
Pełno w dziedzińcach, pełno na wieży,
Nieznana broń ich — postawa.

I skinął rycerz na zbrojną zgraję,
Zsunęli przybice z twarzy;
Wtenczas Pan w wodzu Giermka poznaje,
A z nim że wpadli Tatarzy.

Jedni po zdobycz, drudzy z młodzianem,
Płądrują ciemną piwnicę;
I wydobyli z włosem rozwianym,
Bez duszy — zimną dziewicę.

Czas resztę czynów we mgłę pokrywa,
Bo wszystko w tym wirze ginie;
Lecz lud Dorotką dotąd nazywa,
Istnącą w zamku jaskinię.

J. M. W.

S z a r a d a

Mówi, że jest bez świadków, pierwsze odwrócone,
Za zasłonę zaś służy toż z drugim złączone;
Drugie litera znana w polskich głosek rządzie,
Strapionemu nieść ulgę trzecie z czwartem będzie;
Przed drugim wspólnie z trzeciem wy zbrodniarze drżycie,
Wszystkiego w tydzień wielki pewnie nie ujrzycie.